

Ten budzik należał do Alberta Forstera.

Czarny ze złotym, bardzo odpowiedni do gabinetu gdańskiego gauleitera. Podobno przywiózł go nad Motławę z dalekiej Bawarii. Miał mu go wręczyć razem z biletem kolejowym sam Führer. To był symboliczny podarunek - *Pilnuj go, Albert, i pamiętaj - któregoś dnia dam ci znak, a wtedy ty nastawisz go na budzenie. Zobaczysz, wstaną wszyscy, cały naród i świat. Taką mam wizję* - Adolf poklepał młodzieńca po ramieniu, strzelił jego szelkami. - *Liczę na ciebie i twój budzik.* Albert włożył go do walizki, między dwie brunatne koszule, mimo to budzik przez całą drogę z München do Berlina, z Berlina do Szczecina, aż po Gdańsk, był słyszany, tykał jak głupi. Celnicy nie znali się na żartach, byli poważni jak przedsiębiorcy pogrzebowi, a ponieważ tykający w walizce budzik bardzo przypominał im swoim tykaniem bombę zegarową, kilkakrotnie wywalali młodemu działaczowi S.A. zawartość jego bagaży, wywracali mu kieszenie i obmacywali łydki. - *To oburzające, to szykany wymierzone w Narodowosocjalistyczną Partię* - wkurzał się Bert, ale celnicy nie przejmowali się tym zupełnie. Pognietli mu starannie wyprasowane koszule, a na koniec strzelili z prawej szelki prosto w pierś tak boleśnie, że prawie pisnął. *Nie bądź pan taki nerwowy* - powiedział jeden z nich, taki z długim nosem. *Pewnie Żyd* - zawyrokował Forster, a potem długo nie mógł zasnąć. Układał mowę przeciwko żydowskim celnikom. Jeszcze wtedy nie myślał wysyłać ich do gazu, raczej na Madagaskar, gdzie ciepło, przyjemnie i mało niemiecko. Na dworcu w Gdańsku wysiadł ustrojony w krótkie, bawarskie gacie. Wyglądał jak działacz skautingu, a mówił z takim akcentem, że bagażowy ze śmiechu omal nie wpadł pod pociąg, gdy Albert zapytał go, którędy do centrum. Nieliczna delegacja miejscowych działaczy nie ukrywała rozczarowania. *A to dupek* - mówili potem przy piwie. Śmiali się z jego słabo owłosionych nóg, chudych łydek wyrastających z obszernej, skórzanej, bawarskiej dupy. Nikt wtedy nie mógł przypuszczać, jak ważną spełnia misję i co ukrywa w swojej pięknej walizce, której skórzany grzbiet ozdabiała mała gustowna swastyka - symbol szczęścia niedawno importowany z Indii. Budzik nie zawiódł, rozdzwonił się o czwartej czterdzieści pięć 1 września 1939 roku i okazało się, że głos ma rzeczywiście potężny. Słyszano go nie tylko w pobliskim Nowym Porcie, ale również w Berlinie i Londynie, i Paryżu. Albert był zadowolony, w przyciasnym mundurze S.A.-manna poinformował swojego Führera o powrocie wiernego Gdańska do Rzeszy. Duma usztywniła mu kark na kilka dni, a jego piękny wizerunek został utrwalony na niejednej fotce. Nasz drogi

Albercik stał się gwiazdą końca lata, jego wypowiedzi wstrząsały radiodbiornikami całych Niemiec, podziwiano go za bezgraniczne oddanie, konsekwencję w działaniu, za inteligencję i germańską, ujmującą urodę, lok, wzrok i krok prawdziwego mężczyzny. Potem do Gdańska przyjechał sam Adolf Hitler, jeden, ale w sześciu czarnych mercedesach, wozili się za nim dygnitarze, ciągnął ich za sobą z miejsca na miejsce. *Lieber Forster* był im przewodnikiem, podczas wycieczek robił takie miny, jakby sam, osobiście, walczył na Westerplatte, uderzał z lądu, morza i powietrza. Adolf znów poklepał go po ramieniu i szepnął coś do ucha, coś, czego Albert, niestety, nie usłyszał. Cała reszta podobno słyszała, wódz powiedział – *Słodki*. To było takie osobiste, że gauleiter znów nie mógł zasnąć, podczas tej niezwyklej nocy na tysiąc sposobów oddał swoje życie za państwo, za naród i za Führera. Przez następne dwa triumfalne lata budzik stał na półce tuż za plecami swego właściciela w jego przestronnym gabinecie przy ulicy Joppengasse, w centrum starego miasta, powoli jednak był wyciszany i spychany przez inne cenne pamiątki, podarunki od samego wodza oraz licznych partyjnych kolegów, którzy teraz awansowali na władców tego świata, panów życia i śmierci dla milionów. Wreszcie budzik trafił do letniego dworku gauleitera w okolicy Sobieszewa, nad morze, tam, trochę zapomniany, pokrył się kurzem, a nie nakręcany stanął na czas między Stalingradem a Kurskiem. Zasłuchał się w szum morza, zasłuchany zasnął. To były jego wakacje, kanikuła. Wrócił na Joppengasse 12 września 1943 roku i to całkiem przypadkiem - przywiozła go mężowi miła Frau Forster, ta sama, która robiła wszystkim gościom leśnego domku w Sobieszewie pyszny jabłecznik. Wychwalał go pod niebiosa Heinrich Himmler i namiestnik Generalnej Guberni, Hans Frank. Przywiozła go mężowi, bo chciał pamiętać o porach londyńskich audycji, których innym słuchać nie było wolno pod karą śmierci, ale które on słuchał z niesłabnącą złością i lękiem. *Ach, scheisse* – mówił i pił koniak za koniak. Od kiedy pękła obrona na Wiśle gauleiter Forster stał się biały jak ściana, zbladł tak dość niespodziewanie pewnego dnia podczas porannej toalety i pozostał takim aż do śmierci. Gustowny budzik ustawiono przy nowoczesnym radiodbiorniku marki Tesla. Tak nastał rok czterdziesty i piąty. Zaczęły się bombardowania, lotnicy alianccy coraz częściej pojawiali się nad miastem. Anglicy w ciągu dnia, a Rosjanie nocą zrzucali bomby, tony żelastwa wpadały przez szeroko rozwarte bramy niebios wprost do świata solidnej mieszczańskiej ciszy. To było złe doświadczenie dla średniowiecznego hanzeatyckiego miasta. Jego gauleiter zaczynał przygotowywać sobie drogę ucieczki, najpierw lądem, potem powietrzem, wreszcie łodzią podwodną. Rzeczywistość dookolna przestała go interesować, a tym bardziej świat małych i całkiem małych rzeczy.

Budzik zabrała gauleiterowi moja ciocia, która pracowała naprzeciw budynku, w którym on rezydował. Weszła tam podczas jednego z bombardowań, zamiast iść do bunkra, poszła do gauleitera. Powiedziała, że to był impuls. Podjęła to nadzwyczaj ryzykowne działanie nie bacząc na jego konsekwencje. Los jej sprzyjał. Przez nikogo nie zatrzymywana weszła do gabinetu Forstera. Nie było żadnych strażników, gabinet był otwarty. Stała w miejscu, w którym nigdy nie spodziewała się stanąć i nic, nie poczuła najmniejszego dreszczyku emocji. Wcześniej tak, kiedy skradała się na piętra niczym pantera, mijała korytarze, drżała i pociła się, ale kiedy już stanęła na szczycie, wtedy cały strach odszedł, odleciał. Bomby spadały na miasto, widziała w oddali, tam, gdzie położone były stocznie, nowe łuny pożarów, słyszała jęk syren wozów strażackich i trąta -ta działek baterii przeciwlotniczej. Śmierć była tuż, tuż i to było niesamowite uczucie - chodzić po linie nad przepaścią, po parapecie. W jej głowce pojawiła się ochota, aby wyjść z tego pokoju właśnie tamtędy, raz i na zawsze. Poświęciłaby młodość ot, tak sobie, w tej chwili wydawało się jej, że byłaby do tego zdolna, w tej chwili wydawało się jej, że byłaby zdolna do wszystkiego.

Ryk bombowców potężniał, leciały wysoko, wciąż ciężkie. Bolesne ich jęki nie dawały jej spać po całych nocach, z doświadczenia wiedziała, że już niebawem nad czerwonymi dachami kamieniczek, nad Mariackim kościołem, nad dźwigami, kanałami portowymi nastąpi gigantyczne wypróżnienie wielu eskadr bombowych, wypróżnienie połączone z burzą fajerwerków, totalną rozwałką. Ciocia, przeszedłszy się trzy razy po pokoju gauleitera i zaznawszy przez chwilę wygod jego siedziska, postanowiła opuścić to miejsce, ale nie mogła wyjść stąd tak zwyczajnie, najpierw zamierzała nasiusić gauleiterowi na jego perski dywan, bo mocno i nie do wytrzymania cisnął ją pęcherz, potem w przejmującym akcie odwagi i determinacji zabrała mu z półki budzik. To była mała, dziwaczna zemsta za wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na jej rodzinę za sprawą pryncypała Alberta, tego małego kretynka z czarnym wąsem, za ojca w obozie, matkę po tyfusie, rannego brata, za jej i sióstr zmarnowaną młodość. Wzięła go w garść i pobiegła w dół. W holu stał strażnik, na ramieniu miał tę opaskę czerwoną z pająkowatym hakenkrojcem w środku. Obdarzony znakiem szczęścia miał zginąć tydzień później w całkiem prozaiczny sposób, porażony prądem z grzałki, którą gotował sobie wodę na herbatę. Tamtego jednak dnia wciąż żywy i nie przeczuwający, jak niezdrowe okaże się dla niego zamiłowanie do Assam -Tee, zlustrował ciocię swoim badawczym wzrokiem i dostrzegłszy w niej tylko najzdrowsze aryjskie cechy władczo doradził – *Do bunkra, freulein, prędziutko.*

Złośliwy budzik omal nie stał się przyczyną gwałtu, kiedy w marcu 1945 roku miasto zajmowali żołnierze sowieckiej armii, w nadzwyczaj nieodpowiedniej chwili dał sygnał

pijanym czerwonoarmistom, gdzie powinni poszukać sobie nowych Frau, odpowiednich, aby zając miejsce tych, które porzucili za rogiem. Trzy dziewczyny i matka, ukryte za ścianą piwniczną, drżały słysząc jak rozochoczone żołdacy schodzą ku nim z radosną wrzawą. Budzik, tego Judasza pozostawiły w kącie. Modliły się patrząc na niego i zostały wysłuchane. Żołnierze wezwani gromkim głosem jakiegoś lejtnanta wybiegli na ulicę i tyle ich było widać, dalsze gwałty musieli sobie odłożyć na potem.

W grudniu 1970 roku budzik bez wyraźnego powodu zaczął objawiać pewne oznaki starości, zaniesiony do zegarmistrza zaniemówił na kilka dni, potem jednak głos odzyskał, znów chodził po mieszkaniu i liczył upływające minutki i sekundy. *Absolutnie nie zależało mi na Trzeciej Rzeszy* – tak powiedział pewnego razu. - *Nigdy* – bił się w pierś - *nie wstąpiłem do Narodowosocjalistycznej Partii, zawsze sympatyzowałem z robotnikami*. Jak mój dziadek, były więzień obozu koncentracyjnego i członek SPD. Budzik lubił mego dziadka i z nim właśnie, a nie gaulaiterem Forsterem, który skończył na stryczku, postanowił odejść do lepszego świata. Właśnie na wieść o śmierci mego dziadka, która lotem jaskółki przyleciała z Akademii Medycznej do naszego domu, budzik, chcąc popełnić samobójstwo, rzucił się z szafy i stłukł sobie szybkę. Potem były kolejne lata i kolejne śmierci - babci, szwagra, mamy. Tak już jest - czas musi nas wyorać, aby nowi mogli pojawić się w pustych miejscach, w świeżej skibie. Wreszcie budzik znalazłem ja, w kartonie w piwnicy. Był lekko przerdzewiały, nakręciłem jego mechanizm i byłem ogromnie ucieszony – chodził. Usłyszałem radosne brzęczenie trybików w metalowej puszcze, przyniosłem go do góry, z piekła do nieba, postawiłem na honorowym miejscu jako pamiątkę „familijną”. *Proszę, jaki ładny* – mówili o nim odwiedzający nasz dom goście, tyle było tych komplementów, że budzikowi zrobiło się niedobrze. Zachorował, stanął, więc zaniósłem go do zegarmistrza, ten długo oglądał jego mechanizm i określił nasz zegar mianem – *cacuszko*. Modlił się nad nim ponad tydzień, wyrzuchiwał podobno na cacy, a tu nic, zegar po przyniesieniu do domu stawał i nie było rady, aby zmusić go do przemierzania dni, nocy i dni. *Uparty* - pomyślałem. Zamierzałem nawet tego *faszystowskiego drania* – tak nazywałem go po złości - ciepnąć gdzieś w otchłań śmietnika, w końcu jednak dałem za wygraną. Trafił na boczną półkę, w cień innych bibelotów i stoi. Od czasu do czasu go nakręcę, a on od czasu do czasu chodzi, głównie nocą. Czasami bywa tak głośny, że trzeba go uciszać jak psa, kiedy chrapie. Mruczy jakieś niemieckie frontowe piosenki i salutuje, głośno trzępiąc obcasami. Pewnego dnia, jestem tego pewien, odejdzie od nas na zawsze i żaden zegarmistrz nic na to nie pomoże. Śmierć naszego zegara będzie, być może, również śmiercią czasu.